ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Czerwca **N**ro **23.** Roku 1844.

Zygmunt i Maryja.

1.

Pan Kazimiérz Gołębski, byłto szlachcic wielkopolski, zamożny dziedzic kilku pięknych włości. Odziedziczone po ojcu dostatki wzrastały corocznie gospodarnością i rządnością młodego właściciela, ale niewiele przyczyniały się do jego szczęścia. Albowiem w dwudziestym siódmym roku utracił żonę, którę kochał z całym młodzieńczego ducha zapałem. Z nią, jego życia wesele do grobu wstąpiło. Został mu wprawdzie z tego związku Zygcio, żwawy i ładny chłopczyna, o niebieskiém oku i złotych włoskach, wykapany obraz matki. Tylko wspomnienie na Zygcia, wytrąciło rozpaczającemu ojcu broń z samobójczéj dłoni. Kochał go całą resztą sił znękanéj duszy, a jednak w téj miłości znalazł ogniwo, ściśle go łączące z światem, nowy przedmiot obawy i nadziei, a nie znalazł wypełnienia uczuć swego serca, nie znalazł pokoju, szczęścia. Zygcio trzechletni sierotka, był zupełnie wychowaniu ojca zostawiony. Nauczył się konno jeździć, bronią robić, nabrał samodzielnego ducha, umiał i śmierci zajrzeć w oczy, — krótko mówiąc, wykształcił go ojciec jak na żołniérza, rycerza przystało. Ale tego błogiego, świętego uczucia miłości bliźniego, szlachetności, religijności, tego nie nabył w męzkiéj szkole, chyba może z mlékiem wyssał je z matki łona, a może też jéj pamięć jak stróż anioł, przewodniczyła mu w dziecięctwie. Bo często chociaż w czém małém uchybił, pokazywała mu się we śnie łzami zalana, a taka przestroga, na długo i na bardzo długo skutkowała. Kończąc lat dwadzieścia, był Zygmunt dorodnym, powszechnie lubionym młodzieńcem. Wczesne sieroctwo nadało jego oczom jakiś smętny, rzewny wyraz, co przy otwartém postępowaniu mimowolnie mu wszystkich serca jednało. Ten zarys smętności nie tylko był w oku Zygmunta, bo i w istocie wrodzoną młodości wesołość, jakiś lekki smutek cienił. Odludnie wychowany w domu ojca, który po stracie żony, jedynéj ulgi w samotności szukał, polubił namiętnie towarzystwo; a jednak rad był, gdy w cieniu lip odwiecznych mógł chwilę sam na sam podumać, pobawić się uczuciami swego serca, swoją myśl przemyślić! Pozbawiony tak wcześnie pieczołowitości i tkliwych uczuć matczynego serca, tém wcześniéj uczuł miłość. W jego sąsiedztwie mieszkała Marynia, dziewczyna ładna jak młody aniołek. Ich rodzice żyli z sobą oddawna w przyjaźni, często się zatém widywały dzieci. Zygmunt nie pamiętał kiedy pokochał Maryję. W jego najdalszéj przeszłości malowała mu ją wyobraźnia, jak kochaną drogą siostrzyczkę, ulubioną towarzyszkę zabaw, jedyną powierniczkę wszystkich natchnień serca. Kiedy to rodzinne przywiązanie przeistoczyło się w miłość w burzliwém młodzieńca łonie? — on tego nie pomnié; jemu się zdaje: że nie było czasu kiedy Maryi nie kochał.

Nié ma piękniejszéj pory nad nasze chłodne wieczory po skwarze dnia pięknego lata; przyroda oddycha jakąś lubą orzeźwiającą świeżością. Tysiące ziół i kwiatów napełniają wonią powietrze. Z-dala dolatuje jakiś szmer, niby brzęk w górze. To roje skrzydlatych muszek, cieszą się i weselą z pogody, a ich szmer zléwa się harmonijnie z głosem dalszym rolników i z mrukiem strumyka i z letkim wietrzyka po-

wiewiem. Słońce już zstąpiło do modréj kąpieli; różowe tylko i złociste obłoczki migocą jeszcze resztą jaskrawego blasku. Na całym błękitnych niebios obszarze, króluje księżyc swém uroczém światłem, nęci myśl i oko do tych tajemniczych światów, co iskr milijonem tło nieba promienią. To znowu złoci źwierciadlane wód przeźrocza, lub rzucając światła połcienie, zmienia znane przedmioty w fantastyczne widziadła dziwacznego kolorytu, dziwaczniejszych zarysów.

Na początku jednego z takich wieczorów, przechadzał się po-nad brzegiem wielkopolskiéj Wisły Zygmunt z swoją Maryją. Mówili coś do siebie, a widać coś bardzo ważnego, bo ani śpiew słowików nadwiślańskiéj kępy, ani téż nadpływające statki, nie zwróciły na siebie ich uwagi. Wiedli oni zwykłą kochanków rozmowę. Opowiadali swoją miłość, tworzyli widoki przyszłego i to blizkiego szczęścia, bo ich związkowi nic już na przeszkodzie nie stało. Szczęśliwi nie doznali jeszcze nigdy zawodu swoich życzeń. Oni z całą niewinnego serca ufnością wierzą w jutro, nie trapią się obawą wypadków, co kwiat ich nadziei mrozem mogą zwarzyć! Statki przepływały wśród krzyków rotmanów i głośnéj flisaków wrzawy. Ostatnia dopiéro gdy nadpłynęła nawa, ozdobniejsza i wygodniéj urządzona, zamilkł hałas, a po falach Wisły, ponura rozlała się cisza. Na statku przegrała arfa, a po krótkiéj przegrywce dały się słyszeć następne słowa, czystym i miłym śpiewane głosem:

Daléj bracia w wartkim biegu
Prujcie Wisły prąd,
Choć maj drzew nęci do brzegu,
Pomijajcie ląd!
Póki nam sprzyja pogoda,
Nim ryknie grom burz,
Jak się falą zmarszczy woda,
Nie popłyniem już.

I w saméj rzeczy pokazała się na lazurowym błękicie czarna chmurka, któréj piérwéj nie spostrzegano, i zaćmiła niebios pogodę tak, jak lekki smutek, co zwiał wesołość z lica Maryi i ocienił jéj czoło wyrazem posępności. Daléj nie słyszano słów, tylko brzęk strun. Aż po chwili dał się znowu głos słyszéć, ale jakiś inny, bo uderzył w duszę różnodźwięcznych tonów akordem, a przenikliwą nutą złowrogie wzbudził przeczucie:

Kochankowie, szczęścia chwili
Używajcie póki czas,
Szczęście nie zawsze się mili,
Wiecież co dziś spotka was?
Ot widzicie, chmurka mała
A jéj pierś pioruny zionie,
Woda gładka a tu skała,
I wiry skryte w jéj łonie;
Może jutro smutny kir
Zémi wam szczęścia gwiazdę w noc,
Rozdzieli was obcy zbir,
Lub nikczemnéj zdrady moc!

Zygmunt spojrzał na zbladłe lice kochanki. Chciał spieszyć zbadać ten głos tajemniczy, to znowu udawał obojętność, chcąc wybić myśl smutną z umysłu Maryi.

2.

Na dziedzińcu w Wolicy pełno koni i kolasek. Szara dopiéro godzina, a jednak okna dworskie biją oczy jaskrawą światła łuną, a gwar i krzyki z bawialnéj komnaty w dalekim giną odgłosie. Zygmunt odprowadził Maryję do jéj pokoju i poszedł przywitać gości. Zastał szlachtę z pobliższych wiosek, a marsowe postacie i uroczyste miny, nie długo pozwoliły mu wątpić, że tu idzie nie o wysuszenie pareset butli węgrzyna, ale o jakąś ważną publiczną sprawę. Ledwie wszedł Zygmunt, a już obecni wołali: »W sam czas przychodzisz Zygmuncie. Oto jeszcze jedna tęga karabela dla naszego Karola. Pójdź bracie wypij i ty za zdrowie Karola, króla Polski i Szwecyi.« — Nieszczęśni — dali się uwieść Radziejowskiego chytrości. Dla pozbycia się rządów Jana Kazimiérza, skwapliwie chwytali pomoc najezdcy. Nie wiedzieli, że Karol X. nie zechce być lalką, którąby za morze mogli odesłać, jak im się sprzykrzy. Oni tylko swéj odwiecznéj ufają waleczności. Ich rzeczą bić a nie rachować. Gdzie im tam przez myśl przejdzie, że się ta mniemana pomoc w jarzmo przeistoczy, że się w żywotne siły narodu wpije, że uporczywą wojną ludność wytępi, osady spali, spustoszy rolę! Lepiéj stan rzeczy pojmował Zygmunt. Nawykły we wszy-

stkiem działać samodzielnie, wiedział, co o jedwabnych słówkach wroga sądzić, i oddawna Radziejowskiego zamiary śledził. Nie spodziewał się nigdy, aby obrażona duma tego niecnego człowieka aż do tego stopnia bezczelność posunąć śmiała, ale i tak nie długo się namyślał. Wręcz odpowiedział: że jako dobry Polak nie myśli z wrogiem w żadne wchodzić kontrakty, i że pragnie co prędzéj Szwedom i ich stronnikom zaświécić w oczy krzyżową sztuką, i zapędzić tę chałajstrę precz tam za morze w ich skały. Krwią nabiegli twarze obecnych, niektórzy ujęli za karabele, i gdyby młodzieniec nie był bezbronny, jużby była krew bratnia zlała progi Wolickiego dworu. Ojciec Zygmunta i ojciec Maryi, długo do siebie przyjść nie mogli z zadziwienia. Tłumne uczucia oddech im tamowały, wstrzymywały burze gniewu i żalu. Ale i groźbą, i naleganiem, nic i potém na Zygmuncie wymódz nie zdołali. Ani przekleństwo własnego ojca, ani przysięgi ojca Maryi: że tylko po jego trupie poprowadzi córkę do ołtarza, — nie zwiedły go z drogi honoru i cnoty. Znalazł kilka chwil do pożegnania kochanki, Bóg wié na jak długo — może i na zawsze, i niebawem poleciał zaciągnąć się pod znaki ojczyste.

Rok 1655 był może najkrytyczniejszym dla Polski. Nie było wojska, nie było króla, a co najważniejsze, nie było ducha w narodzie! Wielkopolskie województwa, oświadczyły się prawie jednomyślnie za Karolem X., przezco prawie w dwójnasób powiększyły siłę szwedzką. Litwa i Ruś, stawiały Rossyi czoło, to znowu musiały trzymać na wodzy podburzonych na własny kraj dzielnych mołodców Ukrainy. Niechętnie walczył kwarciany żołniérz, i zostawił pod Wojniczem Szwedowi pole zwycięztwa. Bronił się jeszcze dzielny Czarniecki w murach stołecznego Krakowa częstemi wycieczkami siał w szeregach nieprzyjacioł śmierć i zniszczenie, i nauczył szwedzkiego Karola, że jedynie szczególnemu zbiegowi szczęśliwych okoliczności winien dotychczasowe powodzenia. Ale z Czarnieckiego lepszy był żołniérz niż polityk. Czego Karol X. nie wymógł kul gradem, to mu się udało chytrą negocyacyi drogą. I szwedzka chorągiew powiała na wstyd polskiej Wiśle ze szczytów królewskiego Wawelu. Z Krakowem cała rzeczpospolita uległa najezdcy. Jeden tylko Kordecki na Jasnéj górze w Częstochowéj walecznie wrogom się opierał. Ale Częstochowa, byłto raczéj moralny żywioł, moralne ognisko, łączące serca i myśli dobrze życzących ojczyźnie. A jak poległém ciałem królewskiego zwiérza, tak dzielili się swym łupem podstępni zwycięzcy. Rzeczpospolita już nie istniała!

Ci ze szlachty, co raźno za broń chwytali, i gdzie się nadarzyła sposobność, czoło wrogowi stawili, widząc, że już cały prawie naród uznał Szweda za pana, wracali kryjomo do swoich wiosek. Niektórzy tylko z nich, co się obawiali zemsty wroga, lub co nie mogli przenieść na sobie, aby złożyć hołd, obcą przemocą narzuconemu panu, tułali się po kraju, i wstępny bój wszędzie z Szwedami wiedli. Ale mała ich liczba nie mogła zdziałać stanowczych skutków, a coraz więcéj niknęła w codziennych utarczkach. Do tych ostatnich należał Zygmunt Gołębski. Z małym oddziałem wiernych sobie przyjacioł napadał kupy szwedzkiego żołniérza. Ale chociaż zawsze zwycięzcą z utarczek wychodził, jednakże często ze znaczną stratą. Na próżno stary Jan, wiarus, co pod Władysławem całą moskiewską odbył wojnę, przekładał młodemu przewodźcy, żeby tylko na luźne słabsze oddziały napadać. Zygmunt nie badał sił wroga, na którego miał uderzyć. Jeżeli się o jakim nieprzyjacielskim zastępie dowiedział, »gdzie oni?« jedyném było jego pytaniem. Często uderzał na kilkakroć liczniejszego wroga. Silném natarciem, cudami waleczności, krwawą przez szeregi nieprzyjacioł torował sobie drogę, ale z obu stron krwi wiele płynęło. Prawie wszyscy z jego oddziału byli ranami okryci. On sam kilka miał pamiątek szwedzkiego pałasza, a dwie krysy na twarzy tak dalece go zmieniły, że dawni znajomi zupełnie go nie poznawali. Te ciągłe utarczki, przedzieranie się przez lasy i puszcze, przemagały młodzieńcze zdrowie towarzyszy Zygmunta. Ich fizyczne siły nie starczyły więcéj energii ducha, potrzebowali koniecznie wypoczynku. Tę chwilę zawieszenia broni, postanowił Zygmunt po-

święcić tkliwszym swego serca uczuciom. Obroty wojenne zbliżyły cały oddział nad Wisłę, w jego rodzinne strony, w okolicę Wolicy. Chciał jeszcze raz, może ostatni przed śmiercią widzieć swoją Maryję, pokrzepić zwątlałego ducha widokiem najdroższéj istoty, odświéżyć tyle drogich sercu pamiątek. A potém rzucić się znowu w odmęt krwawych bojów i sprzedać jak najdrożéj życie. Bo wiedział, że inny skutek usiłowań jego nie może uwieńczyć.

* * *

3.

W Wolickim dworze, ludno i wesoło, jak niegdyś owego wieczora, kiedy Zygmunt rodzinne strony i drogą kochankę na zawsze musiał porzucić. Znowu powietrze brzmi wrzawą biesiadujących. Ale dziwném rażącém echem odbijają przyległe wzgórza nieznane szwargoty pijanéj zgrai. Jakiś szwedzki jenerał zajechał do Wolicy w gościnę. Maryja przyjmuje gości, ale jéj twarz blada, ten uśmiéch wymuszony na twarzy otrętwiałéj, całą siłą duszy maluje stan jéj umysłu i poświęcenie, jakie z siebie dla ojca czyni. Ale i ojciec Maryi jakoś nie swój. Zaprosił pana Gołębskiego i innych sąsiadów. W zbytniéj grzeczności, przesadza nawet rodzimą polską cnotę, gościnność. A jednak obcy goście przyjmują całą jego uprzejmość nito hołd winny ich wyższości, i ranią do żywego serce dumnego szlachcica. Za przykładem dowódzców, pozwalają sobie i proste rajtary. Przewodzą i wyrabiają breweryje, bo wiedzą, że im to bezkarnie ujdzie. Już kielich kilkakrotnie obiegł biesiadników koło, gospodarz myślił nad wniesieniem nowego toastu, wtém któryś Szwed, co jak się zdaje zanadto sobie podchmielił, zawołał ironicznym, szyderczym głosem: »A wypijmy téż zdrowie mężnego rycerstwa polskiego, téj sławnéj w boju szlachty. W twoje ręce panie Gołębski. Zdrowie rycérzy z-pod Wojnicza! Tam to bowiem mój pałasz poznał się dobrze z waszémi plecami.« Gołębski zbladł jak ściana. Ta mina rozkazywać zwykła, skamieniała zdziwieniem na taką obelgę. Ujął ręką puhar i uderzył nim o stół, aż prysnął drzazgami w oczy Szwedom, aż dreszcz przeszedł po żyłach szwedzkich bohatérów. Ale sala napełniona żołniérstwem, dodała im otuchy. Jeszcze Gołębski nie dobył karabeli, a już kilku ujęło go w silne dłonie. Wszyscy Polacy wzięli się do broni. Chwilę trwała krwawa, wątpliwa walka, ale coraz więcéj tłoczyło się szwedzkiego żołniérstwa, liczba przemogła. Pokonani leżeli w kącie zkrępowani powrozami, nurzając się w krwi własnéj. A jednak lżéj im na sercu niż przed chwilą, bo czują, że choć część hańby krwią swoją zmazali, wiedzą, że ich przykład opamięta innych zaślepionych braci. Zwycięzcy zalewali się winem przy stole, a pośród nich siedziała Maryja. Omdlała na widok niebezpieczeństwa ojca i téj krwawéj sceny. Teraz odzyskała siły, a przykuł ją do miejsca rozkaz jenerała. Nie śmié się oddalić z bojaźni o życie ojca. Cała dusza w jéj oku, a tém okiem błaga o litość, o miłosierdzie dla swoich.

Panowie gości radzi sobie byli sami, a błędne oczy dowodziły, że nie bardzo szczędzili piwnicy gospodarza. Ale i proste żołdaki, tęgo widać zapijali sprawę, bo naj trzéźwiejszy z nich co się do sali wtoczył ledwie wybełkotał: że jacyś dwaj przechodzący muzykanci życzą popisać się przed państwem z swoją sztuką. Jenerał skinął a muzykanci weszli. Ale dla czegoż obadwa tak się zdumieli na widok sali? Szczęście, że zapite Szwedy na młodszego z nich nie uważali, bo rękę zerwał do boku, jak gdyby szukał oręża, a jego mina była taką, jak gdyby sto śmierci na siebie wyzywał. Potém zakrył w dłoń czoło, i stał z wyrazem niemęj rozpaczy w uczuciu własnéj niemocy. Starszy muzykant uderzył w struny smętną, rzewną nutą, a arfa wyjęczała smutną melodyję, coś nakształt ukraińskiéj dumki. Potém mówił do swego towarzysza prędko i gwałtownie, ale tamten nie zmieniał wyrazu twarzy. »Czyż zdradzisz twoje słowo?« przemówił nareszcie do upartego. I skutkowały te wyrazy, bo wkrótce dały się słyszeć następne zwrotki:

Ach, to serce czyliż zdoła
Przenieść widok ten,
Gdzie każdy przedmiot w myśl woła
Miłych wspomnień sen!

Gdzie w kochanki lubym wzroku
Dawna miłość gra,
A w wezbranym uczuć potoku
W oko płynie łza!

Burza uczuć przepełniła serce Maryi na sam widok przybyłych. Jéj otrętwiałość jak wosk topniała na śpiéw młodzieńca, a oko rzewną zabłysło łzą. Ostatnia znowu zwrotka, taką bladość wywołała na jéj lica, że ściągnęła uwagę jenerała. »Cożci to moja duszko?« zaszwargotał do niéj łamanym językiem i opasłą dłonią pociągnął po gładkiém licu dziewicy. Z nietajoném oburzeniem uchyliła się Maryja od téj natrętnéj poufałości; ale rozgrzany winem rozpustnik okrążył jéj smukłą kibić swém ramieniem, przycisnął do piersi, i anielską twarz dziewicy skaził plugawémi usty. Jak lew puszczy, rzucił się na niego Zygmunt: »Broń się nikczemny lub zginiesz!« krzyknął głosem co całą jego odbił duszę. Głosem, co szaloną śmiałość męża, ze zranionem uczuciem kochanka w jedną spoił rozpacz, w rozpacz okropną dla serca, lecz straszniejszą dla wroga. Śmierć blizka wytrzéźwiła jenerała. Dobył oręża, ale już w pierwszém natarciu wytrącił mu go Zygmunt. Prawie w téj saméj chwili najbliższy Szwed dosięgał Zygmunta pałaszem. Przecież w sam czas uskoczył, a silném cięciem powalił śmiałka. Towarzysz Zygmunta tożsamo broń pochwycił, ale miał do czynienia z tymi co bliżéj niego siedzieli; tych dopiéro obciąwszy, na pomoc Zygmuntowi pospieszył. Szwedzi byli pijani, nie przygotowani na tak niespodzianą walkę. Widząc do tego kilku swoich poległych, rzucili się hurmą na drzwi i okna. Zygmunt z towarzyszem swojém nie próżnował, a znacząc uciekających w nie bardzo chlubne blizny, mnożył ich pośpiech i nieład. Ale i Maryja, ta lękliwa dziewczyna, co zemdlała niedawno na szczęk oręża, o! teraz, i ona była czynną. Rzezała twarde więzy ojca i wszystkich z kolei. A w téj saméj chwili, jak Zygmunt Szwedów z sali wypłoszył, już kilku z uwolnionych chwycili za broń, i biegli bić wspólnego wroga. Ledwie starczyło czasu na parę słów powitania, bo obcesowo cisnęły się rajtary pragnąc pomścić wodzów swych sromotę. Idący naprzód, życiem przepłacali swą śmiałość, ale kupy z tyłu stojące, na siłę ich wciskały. Znajdujący się w sali, rąbali a rąbali, ale już dłużéj nie słuchała karabela znużonéj dłoni, spadała w dowolnym kierunku, a niepewnémi razy głuszyła tylko Szwedów. Już coraz więcéj cisną się w głąb sali, już niedługo garstka odważnych polegnie w krwawym odwecie ofiarą zemsty wroga. Wtém rozległ się nagle tętęt koni na dziedzińcu. Wkrótce szczęk oręży i odgłos: »Naprzód wiara!« pokrzepił siły Polaków. Strwożeni Szwedzi szukali ocalenia w spiesznéj ucieczce, a uratowani rzucili się w objęcia wybawców. Tę, w tym stanowczym razie jak gdyby z nieba zesłaną pomoc, przyniósł oddział Zygmunta. Wiedząc gdzie się udał ich ulubiony przewódźca, jednomyślnie ułożyli ukryć się w Wolickim lesie, aby w razie potrzeby nieść mu rychłą pomoc. Posłyszawszy bojową wrzawę, niebawem przypadli.

Nasi przodkowie byli od nas cokolwiek nabożniejsi. Podziękowali zatém Panu zastępów za odniesione zwycięztwo, opatrzyli potém rannych, ale nie koniec na tém. Prawda, że łatwo było rozbić paręset Szwedów, ale tego pełno było po całym kraju, cóż potém począć. Daléj rada w radę, i zaczęli radzić, ale nic nie uradzili, bo w sam czas przyniósł pokojowiec list od tyszowieckiego pana, donoszący o zawiązaniu tyszowieckiéj konfederacyi. Pisał, żeby Szwedom nie dać umykać, tylko bić gdzie się tylko znajdują, póki rozdzieleni. Wkrótce téż nadeszły wieści, że siły szwedzkie skupiły się do Torunia, Krakowa, Warszawy. Sam Karol przebiegał wprawdzie Polskę, znacząc ogniem i mieczem swoje ślady; ale jak grom pomsty zlatywał na niego dzielny Czarniecki.

Zygmunt ożenił się z Maryją, i nabił się jeszcze dosyć Szwedów.

M. S.

Rok 17. 21.

Ici bas la douleur à la douleur s'enchaîne,
Le jour succède au jour et la peine à la peine.

Gdzież me dawne marzenia, co przed cztérma laty
Tak lubo, tak radośnie w sen mię kołysały?
Które mi dalsze życie i rozliczne światy
W tak jasnéj barwie przed duszą stawiały?

Co duszę mą trzymały w czarodzicjskiém kole?
Gdzie jedno westchnienie koiło me żale,
Kiedy nawet z myśli uciekały bole,
Gdzie sama błogość, szczęście, wtórzyły mym śpiéwom,
Gdzie, jeżelim spoglądał na bieżące fale,
Cieszyłem się z ich pędu, urągałem drzewom,
Co przykute do ziemi korzeni łańcuchem,
Stały nieruchome, ruszając ramiony,
Jakgdyby biegu fali zazdrościły duchem —
A widząc to, myślałem szczęściem upojony:
Jak błogo takim pędem bujać po obszarze!
Jak smutnie, tak na miejscu spoglądać w swe niebo!
Bo marzenia mi niosły samo szczęście w darze,
Bo dla ducha młodego odmiana potrzebą.
Jeźlim widział różę pełną miłéj woni,
Cieszyłem się z motylkiem, co na niéj usiadał,
Bo mi on bujając po szkarłatnéj skroni,
Swoję radość, swoje szczęście tylko opowiadał;
Jeźlim widział w kwiatach jaki krzaczek młody,
Lub jeźlim usłyszał kwilące gdzie dziécię,
Cieszyłem się, bom nie przeczuwał myślą niepogody,
Bom widział dla szczęścia wzrastające życie!
Jeźlim ujrzał, wzrok mój podniósłszy do góry
Jak się promyk światła w jasny obłok cisnął,
Przebijałem myślą sklepienia lazury,
Ażem w czystém niebie przy Bogu zawisnął—
....I z jakąż nadludzką, ach piekielną siłą
Kilka łat życia to wszystko zniszczyło!?
Znikło jak sen, sen luby, uroczy!
Przebudzony przetarłem me młodzieńce oczy,
Za snem niknącym wyciągam ramiona,
I widzę — jak urok po uroku kona!
A ludzie, co rok mój dwudziesty wyśledzą,
Spojrzą i rzekną: »On szczęśliw, bo młody;«
Nie pojmą młodych cierpień, cóż mi odpowiedzą?
»On może tak radośnie używać swobody
Wszystkiego żądać, wszystkiego spodziéwać!«
W łzach moich nie obaczą méj duszy płaczącéj,
A myśli, słowa, w którem zwykł myśli odziéwać
Nazwą brednią méj głowy dziecięcéj, płonącéj!...
»Szczęśliw, bo młody« spokojnie mówicie,
Bo wam to życie tak bez myśli bieży,
Bo wkoło siebie wy nic nie widzicie,
Okrom powierzchnéj błyszczącéj odzieży!

Apolinary H...

Ustęp z Byrona.

Gdybym był w stanie łódkę mego życia
Wstrzymać i nazad cofnąć w swoim biegu
Do pierwszych śmiéchów pierwszego powicia—
Nie chciałbym dłużéj bawić na tym brzegu,
Co stracił dla mnie wdzięk luby — uroczy,
Gdzie wszystko dla mnie pożółkłe, zwiędniałe,
Gdzie strumień życia gnuśnie nurty toczy,
Aż je utopi w morze zmartwiałe!

Apolinary H....

Kabylowie w Algeryi.

Liczny naród Kabylów, zamieszkujący całe nadbrzeżne pogórze Berberyi od Marokko aż po Tripolis, w głębi zaś kraju nie tak licznie osiadły, ma różne nazwiska w miarę różności swoich narzeczy. Amazirgh czyli Szilhu nazywają się Kabylowie w Marokko, tam są najliczniejsi; w Algeryi i Tunecie noszą nazwisko Kbaili; mieszkający w niektórych południowych okolicach Tripolis i innych stronach Berberyi i znani pod nazwiskiem Tuariks i Tibbo, są niezawodnie także Kabylami. Kabylowie są według największego prawdopodobieństwa mieszańcami; powstali bowiem przez połączenie się potomków starych Numidyjczyków, Rzymianów, Kartageńczyków i Wandalów, a może też i Arabów. W Algeryi są oni zwykle małego wzrostu, w Marokko zaś napotkasz często słusznych i silnie zbudowanych Kabylów. Mieszkający między Budschia i Bona mają czarne włosy, ciemną żółtą cerę twarzy, i są w wielu względach podobni do południowych Europejczyków. Kabylowie trudnią się rolnictwem, mają stałe siedziby, żyją nader skromnie, nie chowają tak licznych trzód bydła jak Arabowie; w innych zaś rzemiosłach są od nich biegléjsi, kują broń wszelaką, robią proch do strzélania, budują domy i wybijają fałszywe monety. Odzież ich zawsze brudna, podarta, nad wszelkie pojęcie uboga. Suknia, którą nazywają kandura, jest niczém inném, jak tylko spodnią szatą arabską, zwaną haik. Niżéj kolan noszą się nago, stopę tylko owijają skórą owczą, aby się uchronić od skaléczenia. Golą głowę i noszą małą brodę. W ich twarzach nié ma téj szlachetności, która znamionuje Arabów i Maurów. Nader ruchliwe ich oczy patrzą dzikością, chęcią mordu i nienawiścią. Mowa Kabylów jest bardziéj wrzaskliwa, niż arabska. Mówiąc błyskają zębami, które są tak białe, jak u szakalów. Ponieważ Kabylowie są biednym narodem i ponieważ u nich podobnie jak u Arabów panuje zwyczaj zakopywania pieniędzy, przezco niejeden syn majątku ojcowskiego bywa pozbawionym, dla tego największa część Kabylów najmuje się po miastach za wyrobników. Uzbiérawszy sobie około 100 budschus, wracają do domu i kupują sobie żonę i strzelbę. W Algierze i w okolicy jest ciągle przeszło 4000 Kabylów, najętych jako

dziennych wyrobników. Tam sypiają pod gołém niebem, żyją wodą i przaśnym chlebem, i oszczędzają z zarobku, dopóki nie zbiorą powyższéj sumy; poczém wracają w swoje góry, gdzie pędzą życie wolne i niezawisłe. — Kabyl w ogóle na małém przestaje. Jeźli ma żonę, chatę, strzelbę, jatagan, kilka kóz, psa i muła, już się ma za szczęśliwego. Również i sposób życia jego jest bardzo pojedyńczy: Z brzaskiem dnia modli się, po modlitwie wyciąga się leniwie na słońcu, spogląda na morze, na płaszczyzny, lub wygrywa na drewnianéj piszczałce jednotonne melodyje, jeźli zaś ma jeszcze do tego domek murowany i konia, wtedy jest najszczęśliwszym z śmiertelników. Wojna tylko zmienia cokolwiek to jednostajne życie. Kabylowie prowadzą wojnę nietylko przeciw Rumnis (chrześcijanom) — do czego wszakże rzadko w ich górach ukazujący się Francuzi, mało im nastręczają sposobności, — ale są także ciągle w krwawych pomiędzy sobą zatargach, które się częstokroć dopiero za wdaniem Marabutów kończą. Ponieważ Kabylowie jako naród rolniczy i stale osiadły, klęsk wojennych słusznie obawiać się mają, przeto walka Francuzów z tém plemieniem będzie zawsze długa i krwawa, a zwycięztwo ciągle niepewne.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 23. i obejmuje: 1) O wyradzaniu się chmielu. 2) Zalecenie bardzo skutecznego nawozu do uprawy łąk, tudzież o plewie pszennéj, jako wybornym nawozie na łąki i pastwiska. 3) O nabrzękłości i rozjątrzeniu wymienia u owiec i o puszczaniu krwi z szyi. 4) O wpływie słońca na wełnę. 5) Wiadomość literacka. 6) O kolei żelaznéj atmosferycznéj i domniemaniu że się w Europie całéj upowszechni. 7) Koniczyna na nasienie.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 12. i zawiera procz mód, następujące artykuły: 1) Wybór Polki. 2) Dumka, przez Celestyna W*. 3) Przesądy. (Dokończenie.) 4) O lornetkach dyssertacyja.

Zrcadlo żiwota na wychodné Ewropě. Wydal Karel Wladyslaw Zap. Swazek III. obsahujíci: »Cesty a prochazky po Halické zemi.« W Praze 1844. str. 234. Gdy to pisemko wystawione jest na sprzedaż tu we Lwowie, w Stanisławowie i w Tarnowie w księgarniach Jana Milikowskiego; a w dodatku nadzwyczajnym do Nru. 62. Gazety lwowskiej z dnia 25. maja 1844 r. w doniesieniu literackiém pochwalczo zaleconém zostało powszechności; więc pomuszeni jesteśmy przestrzedz powszechność, aby się témi pochwałami pisemka tego uwieść niedała; sąto bowiem tylko wydawcy i drukarza słowa, zalecające towar chociaż w saméj rzeczy nic nie wart. I gdyśmy już uwagi obszérniejsze krytyczne nad tém pisemkiem uprzednio do czasopisma naukowego imienia Ossolińskich podali; tu tylko to w ogóle donieść jesteśmy pomuszeni: że to całe pisemko nic więcéj nie jest: jak ogólném wyszydzeniem mieszkańców Galicyi i Lwowa, z wymienieniem osób, ich mieszkania i okolicy, jako i obywateli, a szczególniéj posiadaczów ziemi Ormianów; — których czynności porównał autor tego pisemka, do rozbestwionych drapieżnych zwierząt! *Jan Tumpach.*

Biblijoteka hr. Tytusa Działyńskiego w Kurniku. Rzadko jaki kraj może się poszczycić tak wspaniałomyślnymi opiekunami nauk, jakich miała i ma jeszcze Polska w swoich Załuskich, Czackich, Ossolińskich, Raczyńskich. Zwłaszcza iż to wszystko co im Polska zawdzięcza, dokonali oni jako ludzie prywatni, swój własny czas, wpływ i majątek dla dobra umiejętności poświęcając. Najbardziéj obfitują w tak szlachetne przedsięwzięcia owe czasy przeszłego wieku, gdy po upadku literatury klasycznéj rozpoczęła się epoka biblijomanii. Niejednemu zdawała się ta biblijomanija chorobą, którąby można uważać za drugą kończynę onego indyferentyzmu, w jakim wreszcie ugrzęzła literatura klasyczna. Wszakże przypatrzywszy się z jakim doborem i prawdziwie naukowym taktem działali najpiérwsi protektorowie nauk w Polsce, przekonamy się, że ani czcze upodobanie ani próżna chełpliwość nie wymogła na nich takich ofiar dla nauk, lecz że najrzetelniejszą pobudką ich zacnych czynów była czysta chęć zbierania skarbów umysłowości, przedewszystkiem narodowéj, — chęć ochronienia tych skarbów od zagłady, przełożenia narodowych utworów tym przed oczy, którzy mało jeszcze wiary w zdolności naszego narodu posiadali, wreszcie zachowania tych drogich pomników ku nauce historyi. Tento cel miały także usiłowania hr. Tytusa Działyńskiego, którego nader szacowna biblijoteka stawia całą dziejową przeszłość dawnéj Polski przed oczy. Światły właściciel tego skarbca dla historyków, lingwistów a mianowicie prawników, miał w swoich podróżach wiele sposobności do nabycia najrzadszych dzieł dawniejszéj literatury i poświęcił téj pożytecznéj skłonności znaczne sumy pieniędzy. Liczba tomów biblioteki T. Działyńskiego dochodzi 16.000 tomów; atoli wartość jéj nie tak od liczby dzieł jak od ich doboru i starożytności, a mianowicie od rzadkich rękopismów zależy. Śmiało powiedzieć można że prawnicza biblijoteka w Kurniku jest najliczniejszą i najkosztowniejszą w całéj Polsce. Atoli i w innych gałęziach nauk znajdują się tu nader ważne osobliwości. Tak na przykład zawiera biblijoteka kurnicka jeden z najciekawszych rękopismów Napoleona. Wiadomo jest powszechnie iż Napoleon zaczął był romans pod tytułem: *»Clisson et Eugénie.«* Otóż w Kurniku widzieć można własnoręczny manuskrypt autora, dość nieczytelny i świadczący wyraźnie o tém, że Napoleon daleko lepszym był wojownikiem niż beletrystą. Mianowicie zdaje się ten autograf zdradzać jakąś niechęć Napoleona ku płci pięknéj, o ile że w samym tytule wykréślił późniéj damskie imię *Eugénie.* Daléj zaczyna: *»Clisson était né avec un penchant decidé pour la guerre...«* pisze jeszcze pół strony, przekryśla to wszystko, zaczyna z małą zmianą nanowo od najpiérwszego zdania, i tak po cztery razy. Na żądanie hr. Działyńskiego kazał książę Bassano komissyi, złożonéj z Karola de Montholon, baronów Faine i Monier, poświadczyć autentyczność tego rękopismu, a baronowi Faine zrobić własnoręczny spis wszystkich rękopismów Napoleona w ręku Działyńskiego będących, aby tożsamość ręki posłużyła za dowód, że i oryginał konstytucyi księstwa warszawskiego pisany jest ręką Fainea. — Dalej znajduje się w biblijotece kurnickiéj oryginał wiadomego projektu Napoleona, dowodzenia armiją sułtana. Występuje tu Bonaparte jako jenerał artyleryi francuzkiéj, z odwołaniem się do zwycięstwa pod Tulonem. Projekt nie jest ręką jego pisany, ale ma jego własnoręczne, bardzo charakterystyczne uwagi. — Podobne pamiątki literatury i dziejów byłyby pożądaną ozdobą każdéj biblijoteki; żaden jednak właściciel biblijoteki nie mógłby z nich piękniejszego zrobić użytku, nad ten, do którego pan Tytus Działyński je przeznaczył. Równie obydwa przytoczone rekopisma Napoleona, jak i wiele

jeszcze innych nadzwyczajnie ważnych, lecz mniéj do historyi polskiéj ściągających się manuskryptów ofiaruje pan Działyński księgozbiorom zagranicznym w zamian na takie, które się Polski dotyczą. Jestto zapewne nie wielki w swoich skutkach uczynek, ale jakiegoż głębokiego przywiązania do swojéj narodowości potrzeba, aby takie nieocenione w oczach biblijomana skarby europejskiéj sławy, poświęcić za jakieś stare, nikomu nie znajome, lecz ojczyste zabytki! — Z biblioteką kurnicką połączony jest zbiór starożytności historycznych, składający się mianowicie ze starych zbroi polskich. Tego lata ma się on pomnożyć drugim zbiorem dzieł sztuki, który pan Tytus Działyński w Galicyi posiada.

Chateaubriand wystąpił z nowém religijném dziełem, które wprawdzie nie rozpoczyna polemiki w teraźniejszéj francuzkiéj sprawie kościelnéj, ale zawiéra jednak życiopis reformatora trapistów *Rancé* i głosi przeto bezwarunkowe poddanie się kościołowi stanów świeckich. Autor »Atali« opowiada w przedmowie, iż napisanie tego dzieła nakazał mu jego spowiednik, ksiądz Seguin, któregoto zlecenia niniejszém dziełem dopełnia. »Napisałem,« mówi Chateaubriand, »tylko dwie dedykacyje w mojém życiu, jednę Napoleonowi, drugę księdzu Seguin;« — poczém opisuje tegoż pobożnego, ubogiego a przecie dobroczynnego kapłana, który niechciał złożyć przysięgi na rewolucyję, ukrywał się przebrany, został zaciągniony do gwardyi narodowéj, i pełnił we dnie służbę wojskową a w nocy chorych i rozpaczających pocieszał i świętemi sakramentami opatrywał. »Moje pierwsze dzieło,« mówi Chateaubriand, wyszło roku 1799, teraźniejsze roku 1844; przeciąg 45 lat przedziela obydwie książki, jestto trzy razy lat 15, a jak Tacyt mówi: *Quindecim annos grande mortalis aevi spatium*: Lat piętnaście długato przestrzeń czasu dla śmiertelnych! Dożyłem śmierci Ludwika XVI. i Napoleona — cóż jeszcze po mnie na świecie!« — Ksiądz Seguin umarł 19. kwietnia 1834, w 95. roku życia. Rozumié się iż mimo odrębności przedmiotu, nie brakuje w tém dziele na politycznych alluzyjach do Henryka V. dziedzica wieków.« Ale Chateaubriand sam siebie przeżył; — ta jego książka nie sprawia już żadnego prawie wrażenia, i tylko dzienniki legitymistyczne rozwodzą się o niéj cokolwiek szerzéj. Raz tylko jeszcze zyska Chateaubriand chwilowy udział — gdy umrze; oprócz tego poszedł on w zapomnienie, i dopiero późniejsze czasy, w których teraźniejsze polityczne namiętności zupełnie już ostygną, wyznaczą mu jego zasłużone miejsce w panteonie francuzkim.

Nowo odkryte pokłady dyjamentów w Mexyku. Podług najnowszych wiadomości otrzymanych z Mexyku od pana Gerolt, który się tyle do geognostycznego poznania tegoż kraju przyczynił, odkryto i w wielkim mexykańskim grzbiecie gór Siera Madre, w kierunku ku Acapulco, a zatém w południowo-zachodniéj stronie od stolicy, dyjamenty podobnież jak i w Uralu. Alexander Humboldt spodziewał się dyjamentów i platyny daléj ku zachodnio-północnéj stronie, w okolicach złotonośnej rzeki Senora. Donoszą również iż także w wyższéj Kalifornii, i w Nowym Mexyku znaleziono niezmierzone przestrzenie obfitych złotnych *placeres*, czyli gruntu krzemionki, zawierającéj w sobie cząstki złota. Te grunta zostają po większéj części w posiadaniu dzikich plemion, którato okoliczność przyspieszy o wiele posunięcie się tamże północnych Amerykanów i stopniowe zajęcie owych krajów przez cudzoziemców. W dawnym mexykańskim okręgu, pomimo nieprzyjaznego handlowi rządu, wzrasta górnictwo i dobry byt mieszkańców z nadzwyczajną żywością, tak znaczną jest rodzajna siła tej ubłogosławionej od natury krainy.

Guizot na katedrze. Jules Janin daje nam następne opisanie prelekcyi Guizota; rozumie się jeszcze z czasów, kiedy tenże był profesorem przy Sorbonnie: »Pan Guizot szedł zwykle silnym i nieco uroczystym krokiem ku katedrze. Skoro się tylko pokazał, nastawała głucha cisza w całém zgromadzeniu. Zaczynał zaraz mówić bez zająknienia się; głos jego był dźwięczny i pełny, wykład imponujący i przenikliwy. Zdania swoje wyrażał najczęściéj krótko, nie kwiecisto, często nawet bez ogłady, lecz ile na tém traciły, zyskiwały znowu na sile i dobitności. Postać mowcy odpowiadała ściśle jego sposobowi mówienia: Byłto wzrok surowy i nieczuły, który tylko czasami błyskał, podobnie ogniu, tlejącemu w popiele; byłato cera ponura, któréj nic nie zmieniło, ani żal ani radość, ani duma tryjumfu, ani wstyd klęski; byłoto wysokie, myślące czoło, na którém się żadna z namiętności wewnątrz nie odbijała. — Tak jest, w tém wielkiém mieście Paryżu, gdzie każdemu najdokładniéj wiadomo cokolwiek owych bohatérów myśli dotyczé, wiadomo także iż Guizot był ubogim, że ściągnął niechęć rządu na siebie, dawszy mu w swojéj młodości najlojalniejsze dowody swéj przychylności i gorliwości. Powiadają, że miał starą matkę, matronę dawnéj daty, z niewymowną czułością i niewzruszoném uczuciem powinności, która w piśmie świętém wzoru swemu życiu szukała, i że przed tą starą matką klękał co wieczór z prośbą: »Pobłogosław mi matko!« Wiadomo także, że on z żoną swoją zarabiali sobie literackiémi pracami na chleb powszedni, pisując na żądanie artykuły do dzienników, robiąc korrektę druków, i t. p. Wtedyto poprawiała pani Guizot z niewypowiedzianą cierpliwością gramatykalne błędy i fałszywą składnię Letourneura w jego tłumaczeniu Shakespeara, podczas gdy jéj małżonek pisał owe krótkie wstępy do każdego dramatu, które są arcydziełami krytyki i bystrości umysłu; — smutne zapewne zatrudnienie dla polityka, w którego ręku miały niegdyś spoczywać losy Francyi i rewolucyi, smutne mówię zatrudnienie być najemnym pisarzem u Ladvocata księgarza. Cóż było jednak robić? Największy poeta starego Rzymu był kontent, gdy mógł dla utrzymania życia, koło młyńskie obracać. Ztąd też podziwiali wszyscy pana Guizota dla jego skromnego i pracowitego życia; cierpliwość jego wzięto za rezygnacyję; czczono go za to, co śmiał nieraz podczas swoich odczytów wyrzec, a jeszcze bardziéj za to, co był dość umiarkowanym — zamilczéć.«

Królowa Pomare, która od czasów odwołania admirała Dupetit-Thouars znowu nieco wolniéj oddycha, nadała sobie z własnéj wysokiéj władzy tytuł: »Dziewica Otahajcka« i ogłosiła, iż odtąd tylko 25 lat mieć będzie. Nikomu nie wolno dochodzić, kiedy się urodziła. Co się pomienionego tytułu tyczé, sądzi, iż ani Francuzi ani Anglicy z nią oto wojny toczyć nie będą.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.